

KAPUCYNI i MISJE



Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, numer specjalny



„Pójdźcie, błogosławieni Ojca mojego, weźmijcie w posiadanie królestwo, przygotowane wam od założenia świata. Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić”

(Mt 25, 34-35a)



Kochani przyjaciele misji kapucyńskich!

W tym specjalnym numerze Biuletynu Misyjnego Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów Prowincji Krakowskiej pragniemy Wam przedstawić niektóre aktualności z pracy misyjnej naszych Braci Misjonarzy pracujących w Republice Środkowoafrykańskiej i Czadzie. Kapucyni z Polski są obecni w tej części Afryki od 1985 roku. Przez te trzydzieści dwa lata dwudziestu dziewięciu braci podjęło wyzwanie misyjne. Aktualnie w tych dwóch krajach pracuje jedenastu misjonarzy.

Nie tak dawno, po sześciu latach nieobecności w Afryce, miałem okazję przyjrzeć się z bliska aktualnemu życiu w tej części Afryki i pracy misyjnej naszych braci. W dniach od 16-tego lutego do 8 marca, przebywałem z wizytą w Kustodii Generalnej Braci Mniejszych Kapucynów Czadu i Republiki Środkowoafrykańskiej. W pierwszej części podróży towarzyszył mi br. Tomasz Żak, Minister Prowincjalny. W skrócie pragnę Wam przedstawić moją relację.



Na początku naszego pobytu w Afryce uczestniczyliśmy w spotkaniu wszystkich Braci Kapucynów z Republiki Środkowoafrykańskiej i Czadu, które w języku zakonnym nazywa się kapitułą. Na takim spotkaniu podsumowuje się trzyletni okres działalności Kustodii. Podczas obrad dokonuje się wyboru nowego przełożonego i zarządu Kustodii na kolejne trzy lata. Na stanowisku kustosa został potwierdzony brat Serge Mbremandji, Środkowoafrykańczyk, a w gronie czterech radnych znalazł się br. Robert Wnuk. Po kapitule rozpocząłem wizytę u Braci w poszczególnych placówkach. Najpierw odwiedziłem Braci z Bouar, br. Jacka Dębskiego, ekonoma Kustodii, br. Piotra Michalika, przełożonego domu studiów i br. Andrzeja Barszcza, wychowawcę młodzieży w Niższym Seminarium w Yole. Każdy z nich stara się dobrze wypełniać powierzone obowiązki i pomaga młodym afrykańskim kapucynom w ich formacji zakonnej. Potem udałem się z br. Robertem Wnukiem na misję w Bocaranga, gdzie jest on przełożonym domu i proboszczem parafii. Jechaliśmy w dużym kurzu z naturalną

wentylacją, gdyż w tym samochodzie nie ma bocznych szyb, od czasu napadu na misję bandytów z seleka w 2013 r. Jeśli się jedzie za motocyklem to pół biedy, bo kurz nie wzbija się wysoko, gorzej jest jechać za samochodem. Dystans 145 km pokonaliśmy w pięć godzin. To mówi samo za siebie jaki jest stan dróg w tym rejonie. Brat Robert zajmuje się parafią i pięcioma wioskami dojazdowymi. Pozostali bracia na jego misji obsługują w tzw. brusie ponad 30 kaplic. Po dwóch dniach pobytu w Bocaranga chciałem jechać do Ndim. Tam pracuje aktualnie dwóch braci Polaków: br. Robert Wieczorek, proboszcz parafii i br. Zenek Kapka, magister Nowicjatu. Od niedawna jest też z nimi br. Tomasz Światała, poprzednio pracujący w Baibokoum, w Czadzie. Dojazd na misję nie był jednak łatwy, gdyż od tygodnia wioskę Ndim okupowała grupa rebeliantów seleka. Dojeżdżały tam codziennie patrole wojsk ONZ-towskich, ale na noc wracały do swoich baz. Pomimo obecności rebeliantów, postanowiłem jechać do Ndim. Okazało się, że właśnie tej nocy opuścili wioskę, paląc na targu stragany pokryte słomą. Wiatr przeniósł ogień na pobliskie domy. Spaliło się pięć domów mieszkalnych. Jak dojeżdżaliśmy w południe do Ndim dopalały się ostatnie drewniane słupy. W drodze do Ndim napotkaliśmy na kolejne trudności. 7 km od Bocaranga ciężarówka zatarasowała most i zawiesiła się na nim. Przejazd był niemożliwy. Trwała akcja wyciągania ciężarówki i przenoszenia worków fasoli przez rzekę na drugą stronę. Kilku mężczyzn metalowymi łomami ciosało skarpe potoku, przygotowując przejazd przez bród. Niestety strome brzegi nie pozwoliły przejechać tamtędy kolejnej ciężarówce załadowanej towarami. Trzeba było ją rozładować, przenieść worki, przejechać na pusto i na nowo załadować. Tak pewnie będą robić za każdym razem aż do pory deszczowej. Ciężarówka, która utknęła na moście ugięła potężne szyny, które nadają się tylko do wymiany. A co w porze deszczowej? Czy będzie przejazd? Czy znajdzie się ktoś kto wymieni te szyny? Te pytania rodzą się jedynie w głowach u białych, bo Afrykańczycy nie mają wyrobionego myślenia perspektywicznego, żyją chwilą obecną. Droga do Ndim jest w katastrofalnym stanie, wiele mostków jest dziurawych, za ich nawierzchnię służą położone na szynach drewniane żerdzie z brusu. Niektóre mostki trzeba zupełnie omijać i przejeżdżać przez koryto potoku. Większość z Braci mówi, że jeśli ktoś nie naprawi mostów i niektórych miejsc na drodze, to w porze deszczowej będzie ona nieprzejezdna. W Ndim, br. Robert Wieczorek, obwiał mnie po swojej parafii, która przez pięć lat mojej posługi misyjnej była i moją, tak więc znałem dobrze miejsca i ludzi, wielu nawet z imienia. Pokazał mi budowy kaplic, szkół w różnych miejscowościach i nakreślił plany na przyszłość. Według mnie, br.

Robert musi zostać tam jeszcze przynajmniej z 10 lat, aby je wszystkie zrealizować. W Ndim i pobliskiej wiosce Zole przewodniczyłem Mszy Św. z kazaniem. Okazało się, że po sześciu latach nieobecności w Afryce, język sango nie wyparował z mojej głowy. W kolejnym etapie podróży udałem się do Ngaoundaye, gdzie od trzech lat pracuje br. Benedykt Pączka. Na Mszy Św. niedzielnej, której przewodniczyłem, br. Benek był zaskoczony moją znajomością tubylczego języka. Kiedy tam przebywałem br. Benek organizował warsztaty w szkole muzycznej, której jest pomysłodawcą.

Od czasu rozpoczęcia wojny w Republice Środkowoafrykańskiej granica z Czadem pozostaje zamknięta więc żeby tam wjechać, trzeba przedostać się przez Kamerun. Policja kameruńska nie robiła problemu, że w paszporcie nie miałem wizy tego kraju. Policjant wbił mi tylko do paszportu pieczęć tranzytową. Na targu w Baiboum czekał już na nas br. Artur Ziarek. Przepakowaliśmy na jego samochód walizki i łóżko położeńnicze przeznaczone do ośrodka zdrowia w Bam, które przypłynęło w kontenerze z Genui. Po południu br. Artur oprowadził mnie po misji Bam, gdzie jest przełożonym i ekonomem. Im bardziej moja podróż kieruje się na północ kontynentu, tym bardziej wzrasta temperatura powietrza. Upał dał się nam we znaki szczególnie następnego dnia, kiedy odwiedziliśmy trzy miejscowości, w których br. Artur odwiercił studnie głębinowe. Za każdym razem było przywitanie z szefem wioski i tamtejszą ludnością. Sprawdzaliśmy czy pompa ręczna funkcjonuje i przypominaliśmy mieszkańcom zasady jej użytkowania. Wyrazem wdzięczności z ich strony były ofiarowane nam kury i kozy. Po południu odwiedziliśmy szkołę katechistów znajdującą się na misji w Bam. Katechisci z poszczególnych parafii diecezji Gore, przez pięć miesięcy trwania szkoły, zdobywają tutaj niezbędną wiedzę do prowadzenia katechezy, obrzędów liturgicznych, itd. W szkole przebywają wraz ze swoimi rodzinami. Równolegle prowadzone są zajęcia dla kobiet, a dzieci uczęszczają do szkoły lub przedszkola. W kolejnym dniu miałem okazję porozmawiać z nauczycielami i dziećmi z prywatnej szkoły katolickiej oraz zobaczyć warunki w jakich się uczą. Trzeba powiedzieć, że szkoły prowadzone przez Kościół mają wysoki poziom nauczania i są cenione w społeczeństwie. Kolejnym przystankiem mojej podróży afrykańskiej było Gore. Zanim tam dotarliśmy, po drodze, odwiedziliśmy nasze rodaczki, siostry Niepokalanki w Timberi. Wjeżdżając na podwórze misji w Gore spotkaliśmy biskupa diecezji, naszego współbrata kapucyna, Rosario. Uściskaliśmy się serdecznie wspominając wspólnie przeżyte lata w tej miejscowości. Trzeba tutaj dodać, że w latach 2001-2006 byłem gwar-



dianem we wspólnocie postulatów, więc miejsca i osoby tam spotkane nie były mi obce. Odwiedziłem postulat kapucynów, gdzie szesnastu młodych chłopców przygotowuje się do życia zakonnego. Po południu, uczestniczyliśmy w drodze krzyżowej na zewnątrz katedry. Na bożeństwo, z racji trwania Wielkiego Postu, zgromadziło dość liczną rzeszę ludzi. W parafii katedralnej od wielu lat funkcję proboszcza pełni br. Piotr Walocha. Od kilku miesięcy przebywa tam też najmłodszy stażem w Afryce misjonarz z Polski, br. Paweł Kubiak. Uczy się języka ngambay, w którym sprawowana jest w tej diecezji Msza Św. i odbywa się katecheza. Miałem okazję sprawować z nim Mszę Św. w jednej z wiosek sektora, za który jest odpowiedzialny. Trzeba powiedzieć, że z czytaniem tekstów Mszy Św. radzi sobie dobrze. Pomaga mu w tym zapewne dobry słuch muzyczny, szczególnie potrzebny do nauki tego tonalnego języka. Podczas pobytu w parafii Gore miałem okazję uczestniczyć w jednym dniu rekolekcji wielkopostnych. Około 6 rano wybraliśmy się z br. Piotrem do Maymana, gdzie wierni z sektora Yamodo przeżywali trzydniowe rekolekcje. Zebrało się na nich z pięciu wiosek ok. 200 osób. Uczestniczyliśmy w katechezie, po której był dialog z uczestnikami pomagający im zrozumieć i zapamiętać jej treści. Następnie odbyły się: modlitwa różańcowa, wprowadzenie do sakramentu pojednania, sprawowanie tego sakramentu i na koniec Msza Św. w cieniu dużych mangowców. Spotkanie zakończyło się obiadem z katechistami. Tradycyjnie jedliśmy polentę z sorga i bardzo smacznego kurczaka. Pod wieczór, bardzo zmęczeni wróciliśmy do domu. W niedzielę podczas Mszy Św. w katedrze 182-óch katechumenów otrzymało medaliki, znak rozpoczęcia przygotowania osób dorosłych do sakramentu Chrztu Św. Po obiedzie pożegnałem Gore, by udać się do Moundou. Tym samym rozpocząłem drogę powrotną do Polski. W poniedziałek, do stolicy kraju N'Djameny, towarzyszył mi br. Artur i br. Paweł. Po drodze rozpoznałem miejscowości znane mi z przed lat i rozległą sawannę ciągnącą się aż po bezkresny horyzont. Mieliśmy też wyjątkowe szczęście spotkać niedaleko drogi duże stado dromaderów, mniej więcej ok. 200 sztuk. Nie oparliśmy się pokusie, by zrobić im kilka fotek. Stolica przywitała nas jak zwykle „cieplutko”, chociaż i tak nie było najgorzej, bo tylko 43° C w cieniu. Pożegnanie z Afryką, jak zawsze, było dla mnie wzruszające. Po trzech tygodniach w „innym świecie” trzeba było wracać do „cywilizacji”. Fizycznie byłem zmęczony, ale zarazem szczęśliwy, że mogłem po raz kolejny być choć chwilę w tej części świata.

br. Jerzy Steliga
Sekretarz misyjny



Afryka - poszerza horyzonty i niszczy perspektywy?

br. Tomasz Żak OFM Cap

Zobaczyć Neapol i umrzeć – to powiedzenie znane od stuleci, które można rozumieć przynajmniej dwojako. Pierwsza interpretacja to ta, iż kiedy zobaczysz Neapol, śmiało możesz żegnać się ze światem, bo żaden piękniejszy widok raczej ci się już nie trafi. Inne rozumienie powiedzenia jest mniej sympatyczne, a dotyczy niebezpieczeństw czyhających w mieście, mafii, złodziei, chorób, śmieci i odoru.

Być może niejednemu z nas, którym przyszło ujrzeć Afrykę, a do których od niedawna i ja się zaliczam, zdarzyło się pomyśleć w podobny sposób jak powyżej. W każdym razie trudno by się chyba nie zgodzić tak z pierwszą, jak i drugą interpretacją w odniesieniu do Czarnego Łądu. Tak czy inaczej, godnym podziwu jest inwencja twórcza Afrykańczyków w prostych lub bardziej skomplikowanych rozwiązaniach dotyczących codziennego funkcjonowania i zapewne pomyślność ta zawstydziłaby niejednego Europejczyka. Jakże się mogą poszerzyć horyzonty myślenia i wdzięczność za tak często niedoceniane możliwości i ułatwienia, dane nam w cywilizowanym świecie, w którym żyjemy.



Jednocześnie doświadczeniem wielu misjonarzy i wolontariuszy jest też swego rodzaju beznadzieja i zniechęcenie, wypływające z wielu – wydaje się – niepokonalnych trudności, które w Afryce napotykają. W takiej sytuacji perspektywa zmiany na lepsze, tak od strony ludzkiej, jak i duchowej, niczym zakryta wszędobylskim kurzem unoszącym się nad afrykańską ziemią, zdaje się zniknąć w sieni dala.

W tym przypadku w sercu człowieka rodzić się może raczej współczucie niż podziw. Pojawia się także kwestia sensu lub sposobu pomocy krajom Trzeciego Świata. Czy nie lepiej mieszkańców Afryki pozostawić samym sobie, bez nachalnego i bezowocnego trudu uczenia ich kultury i mentalności europejskiej? A może pomoc z zewnątrz byłaby bardziej udana, gdyby wraz ze wsparciem materialnym szło także przejęcie władzy w tych krajach na zasadzie ich kolonizacji? Powyższe

pytania z pewnością warto stawiać, choć historia dawała już na nie odpowiedzi: Afrykańczyków raczej nie można pozostawić bez pomocy, nie można też ich w jakiś sposób ubezwłasnowolnić.

Właściwą odpowiedź na wspomniane dylematy można odnaleźć jedynie wówczas, kiedy odniesiemy je do duchowego wymiaru. Zdrowa katolicka antropologia i eklezjologia daje nam tutaj jasne wskazówki. Sensem i podstawą chrześcijańskich misji jest odniesienie do Chrystusa oraz człowieka. Bez Chrystusa człowiek nie jest w pełni człowiekiem. Jeśli misjom ten właśnie cel i prawda przyświeca, ich owocność, choć może nie dostrzegalna z ludzkiej perspektywy, w oczach wiary jest

jak najbardziej możliwa i wystarczająca. Wymiar Boży i ludzki misji wzajemnie się przenikają, a w teologicznym rozumieniu otrzymują wypełnienie we wspólnocie Kościoła, a nade wszystko w Królestwie Bożym. Konstytucja Soboru Watykańskiego II o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes” wskazuje, że odpowiedź na pytania o człowieka, budowę społeczeństwa, sens ludzkiej działalności uwidoczni, że Lud Boży i ludzkość, w którą on jest włączony, świadczą sobie wzajemnie pomoc, w taki sposób, że misja Kościoła okazuje się religijną i przez to samo najbardziej ludzką (por. GS 11). Innymi słowy, misyjność Kościoła nie jest wartością dodaną lub dowolną, lecz jego cechą charakterystyczną. Kościół jest

misyjny albo nie jest Kościołem Chrystusa. To niełatwe zadanie głoszenie Dobrej Nowiny każdemu stworzeniu, nie jest na szczęście dziełem samego człowieka. Sam Bóg angażuje całego siebie w akt stworzenia i zbawienia człowieka. Jan Paweł II w encyklice o stałej aktualności posłania misyjnego „Redemptoris missio” podkreśla, iż misja Kościoła, tak jak misja Jezusa Chrystusa, jest dziełem Boga, jest dziełem Ducha Świętego (por. RM 24).

Mijają już długie lata posługi misyjnej Braci Mniejszych Kapucynów Prowincji Krakowskiej w Republice Centralnej Afryki i w Czadzie. Bogu niech będą dzięki za ten dar oraz za poświęcenie tak wielu braci, którzy dają świadectwo, że Chrystus pozostaje zawsze miłosiernym Zbawicielem. Dla wszystkich.

br. Tomasz Żak
Minister Prowincjalny



Kaplica Miłosierdzia Bożego w Nzakoun

br. Benedykt Pączka OFM Cap

W niedzielę Bożego Miłosierdzia ks. Mirosław Gucwa, wikariusz biskupa diecezji Bouar, poświęcił w wiosce Nzakoun nową kaplicę, którą udało nam się wybudować dzięki pomocy Kościoła w Potrzebie z Warszawy oraz indywidualnych dobrodziejów. Kaplica ta ma szczególne znaczenie, ponieważ powstała w miejscu, gdzie podczas ostatniej rebelii z rąk najemników seleki zginęły 22 osoby. Przebaczenie za doznane krzywdy nie jest łatwe, nie dokonuje się w momencie. To długi proces, którego częścią, zgodnie z moim zamiarem, była właśnie budowa i poświęcenie kaplicy p.w. Bożego Miłosierdzia. Pewnie nieprzypadkowo budowa zbiegła się z Rokiem Miłosierdzia ogłoszonym przez papieża Franciszka.



Wioska Nzakoun jest oddalona o 14 km od naszej misji w Ngaoundaye, leżącej na północnym-zachodzie RŚA, na granicy z Czadem i Kamerunem, gdzie od ponad 50 lat jako braci kapucyni posługujemy, żyjemy i pomagamy tutejszej ludności. Z 19 wiosek, w których pełniemy posługę duszpasterską, wioska Nzakoun jako jedyna nie miała jeszcze solidnej, murowanej kaplicy. Dotychczasowa kaplica była wybudowana z pustaków zrobionych z błota i gliny oraz pokryta trawą. Przedpołudniami służyła jako szkoła dla około 70 dzieci, popołudniami odbywała się tam katecheza oraz nabożeństwo. W niedzielę katechista tej wioski prowadził liturgię, a ja – kilka razy do roku – odprawiałem w takich warunkach Mszę Świętą. Kilka miesięcy temu padało, dach kaplicy przeciekał, a ja po raz pierwszy w swoim życiu odprawiałem Mszę Świętą pod parasolem.

W ubiegłym roku członkowie rady parafialnej w Nzakoun poprosili mnie o pomoc w wybudowaniu nowej kaplicy. Cała wioska liczy około 1,5 tysiąca osób, natomiast wspólnota młodych chrześcijan to około 300 osób. Wioska ta, jako jedna z nielicznych w naszej parafii, bardzo ucierpiała podczas najazdu rebeliantów se-

leki na nasz region w 2014 roku. Rebelianci bestialsko zabili 22 osoby (w tym dyrektora szkoły) i spalili kilkadziesiąt domów, a także ośrodek zdrowia, jedyny tym rejonie. Chrześcijanie w Nzakoun – katolicy i protestanci należący do dwóch różnych wspólnot – żyją w zgodzie i we wzajemnym szacunku; podczas najazdów seleki wszyscy razem szukali rozwiązań dotyczących wspólnej przyszłości. Po rebelii przyszedł czas na odbudowę tego, co zostało zniszczone.



Właśnie takim elementem odbudowy i pomysłem na pojednanie ma być kaplica Bożego Miłosierdzia, która jako jedyny solidny murowany budynek we wsi będzie pełnił też inne funkcje, np. odbywać się tam będą zajęcia szkolne. Kaplica ma 20 metrów długości, 15 szerokości i jest pięknie położona – z widokiem na najwyższe wzniesienie w tym rejonie: górę Pana. Mam nadzieję, że kaplica przez wiele lat posłuży jako miejsce modlitwy i spotkania dla młodej i dobrze rozwijającej się wspólnoty chrześcijan. Będzie też miejscem, gdzie liczne grupy dzieci będą przychodzić każdego dnia, aby uczyć się czytania, pisania i słuchać katechezy.





Pokój i Dobro

pisze br. Piotr Michalik OFMCap

Właśnie wróciłem z Yongoro – wioski oddalanej o 40 kilometrów od mojej misji w Bouar. Zmęczenie daje znać o sobie, ale czasu na odpoczynek nie ma. Za dwa tygodnie wyjeżdżam na urlop, a prace się kumulują. Tym razem nie są to prace duszpasterskie, których spiętrzenie przypada w okresie wielkanocnym. Mój czas i siły pochłaniają dwie równoległe prowadzone budowy.

29 maja będziemy mieli poświęcenie nowo wybudowanej kaplicy w Pendere Bafago. Poprzednia była za mała. Za czasów panoszących się rebeliantów seleka były wybudowane fundamenty nowej kaplicy, a realizacja samego budynku musiała poczekać na spokojniejsze czasy. Teraz pozostały do zrobienia jeszcze różne drobne prace: niewielkie poprawki, wymalowanie kaplicy, ozdobienie ścian, posprzątanie terenu wokół, posadzenie kwiatów, wstawienie nowych ławek i powieszenie wielkiego krucyfiksu, tak by wszystko było gotowe na poświęcenie. Zapowiada się naprawdę wielkie wydarzenie. Oczywiście odprawię uroczystą Mszę Świętą, a po liturgii będzie >>coś na zap<<.



Drugą budową jest szkoła podstawowa w Dongue Yoyo. Tutaj to już jest prawdziwy wyścig z czasem. Chciałem przed wyjazdem na urlop zadaszyć budynek, ale kilka dni na pewno zabraknie. Na szczęście murarze wiedzą co mają robić, więc sami dokończą pracę po moim wyjeździe.

Przy tego typu przedsięwzięciach problemem są nie tylko sprawy materialne, ale również, a często przede wszystkim, sprawy związane z ludźmi. Jest to kwestia braku zaangażowania ludzi z wioski w budowę, a także ich niedostatecznego wkładu finansowego. Przyczyny tego mogą być różne, np. dużo zajęć w polu sprawia, że ludzie nie angażują się w pracę na budowie. Ale również międzynarodowe organizacje pozarządowe, które tu



działały, niestety przyzwyczaiły ludzi, że za każdą pracę się im płaci i takie nastawienie jest trudne do zmiany. Brakuje też jedności w społeczności wioskowej, a często także – zaangażowania ze strony odpowiedzialnych. Na pewno również z mojej strony były różne gafy, ale człowiek uczy się na błędach, niestety, przede wszystkim własnych.

W każdym razie trzeba stale pilnować budowy, mieć cały czas rękę na pulsie i nieustannie mobilizować ludzi. Tak sobie niekiedy rozmyślałem: czy gdyby dzisiaj w Polsce, w jakiejś miejscowości chciano wybudować szkołę w czynie społecznym, czy to by się udało? Myślę, że – niestety – nie. A tutaj, w wiosce w Republice Środkowoafrykańskiej, mimo wyżej wymienionych trudności, jest to możliwe! Kobiety przynoszą wodę na budowę i przygotowują jedzenie dla robotników. Dzieci przynoszą cegły, piasek albo wykonują inne lżejsze prace. A mężczyźni pomagają murarzom, wypalają cegły, szukają w buszu kamieni. Przy budowie kaplicy dla katolików w Pendere Bafago również protestanci mieli swój udział!

Oprócz wyżej wymienionych budów próbuję z chórzystami z różnych wiosek naprawiać drogi, dwóm katechistom pomagam wybudować domy, dostarczam baptytom deski na ławki do ich kaplicy, nie mówiąc o pracach polowych (właśnie zaczęła się pora deszczowa). Wiosną, w Polsce idzie się na działkę, a tu, wraz z nadejściem pory deszczowej zaczynam prace w ogrodzie przy uprawie warzyw, w sadzie i na polu. I tak do 3 czerwca, do dnia wylotu na urlop do Polski.

Pozdrawiam serdecznie
br. Piotr Michalik



Nie ma, nie ma wody na pustyni...

br. Artur Ziarek OFMCap

Tak kiedyś śpiewała Beata Kozidrak z zespołem Bajm...

Od 6 lat pracuję na misji na południu Czadu, w państwie, którego obszar to w większości pustynia Sahara. Woda czysta ze studni głębinowej w tym rejonie świata jest rarytasem. Dla każdego, kto tu przybywa po raz pierwszy, wielkim zdziwieniem jest widok kobiet z ogromnymi miskami na głowie wypełnionymi wodą i z dziećmi na plecach. Na początku trudno było mi to zrozumieć. Prąd elektryczny i woda są dla nas standardem... A tam kobiety każdego dnia, aby przynieść wodę, muszą pokonać 2, 3, a w porze suchej często i więcej kilometrów. W afrykańskich wioskach to właśnie kobiety są odpowiedzialne za zaopatrzenie domu w wodę. Miski z wodą, które noszą na głowie, mogą pomieścić do 50 litrów.

Kiedy jesteśmy spragnieni, sięgamy na ogół po butelkę wody kupioną w sklepie albo po prostu odkręcamy kran, z którego coraz częściej płynie czysta woda. No właśnie – czysta, zdatna do picia, zdrowa... Pracuję w wielu wioskach, w których do mycia rąk przed posiłkiem podaje się miskę o pojemności litra wody i ręce myje w niej 8 osób. Kiedy jestem w gościnie, miskę podają najpierw mnie, jako misjonarzowi, i wstyd przyznać, że niekiedy nawet jako pierwszy z powodu brudu boję się zamacać ręce w tej wodzie. Nie jest ona przezroczysta, a ten, kto ostatni z niej korzysta, w zasadzie nie wiadomo, czy swoje ręce myje czy brudzi.



W języku tutejszej ludności, czyli w języku ngambay, woda to „man”. Miejscowa kultura nakazuje nie odmawiać nigdy wody nikomu, zwłaszcza podróżnym, to znaczy pieszym, którzy idą od wioski do wioski, by dotrzeć do celu. Temperatura w tym regionie rzadko spada po-

niżej 30 stopni Celsjusza. Teraz, kiedy piszę tych kilka słów, jest godzina 16.00, a na termometrze widzę 43° C.

W porze deszczowej woda leje się z nieba. Ludzie nadstawiają miski i czekają na deszcz. Natomiast prawdziwą udręką, z powodu braku wody, jest pora sucha. Tutejsi mieszkańcy najczęściej piją wodę z rzek, czasem ze stawów, z których korzysta też bydło. Nie trzeba dużej wyobraźni, żeby wiedzieć, że woda ta jest nieświeża i brudna i że korzystanie z niej jest jednym z powodów bardzo wysokiej umieralności w tym regionie, zwłaszcza wśród małych dzieci. Nie da się obok tego problemu przejść obojętnie. Jako misjonarz rozpoznałem tu i usłyszałem wołanie Chrystusa: byłem spragniony, a nie napiłem się.



Dzięki wsparciu finansowemu otrzymanemu od Fundacji Kapucyni i Misje, a także indywidualnych ofiarodawców udało mi się w wioskach, do których docieram, wybudować kilkanaście studni głębinowych. Nowa studnia to dla tubylców zawsze powód wielkiego święta. Oznacza ona życie, mniej chorób, większą higienę, a dla kobiet – zaoszczędzony trud i czas, który można poświęcić dzieciom.

Wielu spośród moich parafian nazywa mnie „ojciec man”, ten od wody. Ja cierpliwie tłumaczę, kto jest darczyńcą, kto im podał kubek świeżej wody. Każda studnia wybudowana przez misjonarza w Afryce jest związana z konkretną osobą darczyńcy, czasem rodziny, niekiedy – z jakimś jubileuszem. Czasem jest to pomnik pamięci zmarłej bliskiej osoby albo po prostu dzieło miłosierdzia.

Nie ma, nie ma wody na pustyni.... Jest! Gdy spotkasz pomocną dłoń...

br. Artur Ziarek OFMCap



Afrykański czas

pisze br. Tomasz Świata OFM Cap

W Afryce czas płynie inaczej. Rzeczywiście, to prawda. I myślę, że niejednokrotnie nawet po wielu latach ktoś, kto przyjechał z Europy, nie jest w stanie się przestawić lub przyzwyczaić do tego rytmu, według którego toczy się życie na Czarnym Lądzie.

Ludzie w Afryce Centralnej – piszę tak po doświadczeniach pobytu w Czadzie, Republice Środkowoafrykańskiej oraz Kamerunie – są bardzo biedni. Nie mają wielu dóbr materialnych, często nawet takich, które wydawałyby się konieczne do życia. W żaden sposób ich mienia nie można porównać z dobrobytem ludzi Europy. Mają jednak – i to w obfitości – coś, czego bardzo często brakuje wielu ludziom starego kontynentu, i to nawet, a może przede wszystkim, tym bardzo zamożnym: ludzie Afryki mają czas.

Przekonałem się o tym wielokrotnie i często – szczególnie w pierwszych latach – nie było to dla mnie łatwe. Chciałoby się powiedzieć, że słowo «pośpiech» zostało wyeliminowane z afrykańskiego słownika (może nigdy go w nim nie było?). Z kolei słowo «punktualność» – mam wrażenie – ma tutaj inne znaczenie... Pamiętam, jak na pierwszej misji tracąc przydzielili mi opiekę nad grupą młodzieżową. Umówiłem się z młodzieżą na pierwsze spotkanie na godzinę 15. Kiedy, zwyczajem moich polskich lat pastoralnych, przyszedłem nieco wcześniej, nikogo nie zastałem. Zbyt mi to nie dziwiło, gdyż było jeszcze kilka minut do 15. Kiedy 15 wybiła i nie było nawet jednej osoby, zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie pomyliłem dnia. Sprawdziłem w kalendarzu – nie, dzień się zgadzał. Myślę sobie: «kwadrans akademicki», trzeba mieć cierpliwość, poczekam. Jednak po kwadransie nikt się nie zjawił. W gorliwości poczekałem jeszcze kolejne 15 minut, ale również bezskutecznie. Zawiedziony wróciłem na misję. Jak się okazało około godziny 16 ktoś się pojawił – przyszedł, jak gdyby nigdy nic, na zapowiedziane na godzinę 15 spotkanie. Po nim zaczęli przychodzić powolutku inni i tak około 16.30 zebrała się grupka i mogliśmy rozpocząć. Ciekawe było to, że to właśnie oni byli zaskoczeni, czego ja od nich chcę. Przecież przyszli na spotkanie! Dla Afrykańczyków czekanie nie stanowi problemu, nie mają poczucia, że marnują czas. Ktoś przychodzi wcześniej i po prostu jest: siedzi, rozmawia albo czeka w milczeniu. Nie ma pretensji do tych, którzy zjawiają się dużo później. Wydaje się, że godzina rozpoczęcia zebrania jest w jakiś sposób płynna: jak już zbierze się grupa, no to zaczniemy. Często ludzie tutaj umawiają się nie na godzinę, ale np. rano lub po południu – i to im wystarczy – schodzą się powoli, każdy według swego rytmu. Nauczony tym doświadcze-

niem musiałem przestawić mój zegarek o półtorej godziny. Oczywiście szkolnictwo czy też Kościół próbuje ustalić jakieś ramy i konkretną godzinę, na którą trzeba się zejść, i często udaje się to wyegzekwować (szczególnie w większych miastach), ale i to nie jest pewne. Na przykład gdy noc i świt były bardzo chłodne lub gdy pada deszcz – wszystko się opóźnia. Już miałem takie doświadczenia, że w niedzielę w sporej parafii w godzinie rozpoczęcia Mszy Świętej w kościele nie znalazłem żywej duszy, chociaż w normalnych warunkach kościół był pełen.

Pracując w buszu, umawiam się z wiernymi, że przyjadę tego a tego dnia na Mszę Świętą np. na godzinę 8. I często się denerwowałem (łagodnie mówiąc), nie znalazłszy po przyjeździe nikogo. Moja europejska mentalność próbowała i próbuje to zmieniać, uwarżliwiać na punktualność, walczyć z nałogowym spóźnialstwem... A dziś zadaję sobie pytanie: czy warto? Czy o to chodzi, by zmienić ich przyzwyczajenia? Zrozumiałem to troszkę głębiej i nabrałem więcej dystansu, kiedy pewnego razu nocowałem w wiosce w buszu – rzeczywiście, w sporej odległości od jakiegoś większego centrum. Dla niewtajemniczonego czytelnika dodam, że rzeczą zrozumiałą jest, iż nie było tam prądu czy zasięgu telefonicznego. Przyjechałem w sobotę po południu, by nazajutrz sprawować Eucharystię o godzinie 8. Katechista przyjął mnie gościnnie w swojej afrykańskiej chatce, wieczorem, przy świetle laterek, zjedliśmy tutejszego bula z sorgo i poszedłem na nocny spoczynek. Telefon służy mi jako zegarek i tak się złożyło, że przez noc bateria się rozładowała. Ciekawe doświadczenie: budzę się, jest już jasno, ale która to może być godzina? Czyżbym był już spóźniony? Czy już czas na Mszę? Trudno rozemnać. Szukam katechisty i pytam go, która jest godzina, a on mi odpowiada, że nie wie, bo nie ma zegarka. Próbuję więc dalej: no a może ktoś z rodziny, jakiś sąsiad? Nie mają zegarków. A ja tyle razy denerwowałem się na niego, że nie przychodzi punktualnie na 8.

Tu w Afryce to natura wyznacza ludziom czas. Wstają, jak noc zaczyna ustępować dniowi, i kładą się spać, jak ciemności nie pozwalają już widzieć. Czasem posiedzą jeszcze chwilę przy ognisku... Po południu zbierają się na spotkania, kiedy słońce już tak bardzo nie praży, a w pole idą pracować wcześniej rano, kiedy słońce jeszcze tak bardzo nie praży. Nie spieszą się – mają czas. Mają czas, którego nam, Europejczykom, tak często brakuje...

br. Tomasz Świata OFM Cap



Wakacje po afrykańsku

pisze br. Jerzy Steliga OFM Cap

Niektórzy z nas już zaplanowali wakacyjny urlop, inni gorączkowo wertują oferty biur turystycznych. Czas odpoczynku dla dzieci i młodzieży po całorocznym wysiłku szkolnym zbliża się bardzo szybko więc trzeba się na coś zdecydować. A jak wygląda okres wakacyjny w Afryce? Przede wszystkim nie istnieje tam pojęcie „urlop wypoczynkowy”. Oczywiście każdemu kto ma zatrudnienie przysługuje urlop, tylko nikt nie poświęca tego czasu na wypoczynek. Prawie wszyscy pracujący zawodowo, nawet w miastach, mają poletka uprawne, gdzie spędzają wolny czas. Jedynie wysoko postawieni urzędnicy miasteczek i część ludności stolicy może pozwolić sobie na luksus odpoczynku po pracy. Nie ma tam zwyczaju podróżowania w celach turystycznych więc i nie ma też odpowiedniej bazy turystycznej. Podróże mają charakter bardziej odwiedzin rodzinnych niż wypoczynkowy i są związane najczęściej z pogrzebem bliskiej osoby. Podróże rozłożone są w miarę równomiernie w czasie całego roku choć miesiące pory suchej, szczególnie styczeń, luty, gdzie nie ma prac polowych, sprzyjają wyjazdom. Dwa razy do roku robi się jednak ożywienie w tej materii. Jest to czas powrotów uczniów ze szkół do domów na wakacje, oraz wyjazd młodzieży do szkół.



Duża grupa młodzieży opuszcza wtedy swoje rodziny, by kontynuować dalej naukę w mieście. W wioskach bowiem nie ma liceów ani gimnazjów. Szczególnie rodzice czekają na powrót swoich pociec do domu, bynajmniej nie z tęsknoty za nimi, ale z prozaicznego faktu, że przybędzie kilka rąk więcej do pracy w polu. Wakacje dzieci i młodzieży trwają trzy miesiące, od lipca do września, a czasami dłużej, gdyż rozpoczęcie roku szkolnego może mieć dwu lub trzy - tygodniowy poślizg. Na wakacjach młodzież żyje codziennością wioskową. Nie ma dylematu czy komuś się chce pracować w polu czy nie. Wszyscy idą w pola całymi rodzinami, jedynie zostają przy domach osoby starsze i chorzy. Funkcjonuje tam prosta logika: nie pracujesz, to nie masz co jeść; nie zarobisz

na wakacjach, to nie masz pieniędzy na naukę. Kiedy pola znajdują się kilka kilometrów od wioski, tubylcy zazwyczaj zostają tam kilka dni i śpią w szałasach. Wracają do wioski na cotygodniowy targ i na niedzielę. Rzywek na wiosce w tym czasie nie ma za wiele. Chłopcy popołudniami grywają w piłkę nożną i na boiskach przy misjach w koszykówkę, bo nigdzie indziej, nawet przy szkołach, ich nie ma. Dziewczyny po powrocie z pola pomagają w gospodarstwie coś ugotować, opiekują się dziećmi, których nie brakuje w żadnej rodzinie, zaplatają sobie włosy, itd. Dzień za dniem upływa podobnie. Jedynie dzień targowy wnosi nieco ożywienia. Wszyscy krzątają się od rana, by przygotować produkty rolne do sprzedaży i trzeba zadbać o swój wygląd, bo na placu targowym nie można zaprezentować się byle jak. Wieczorem tego dnia wybrzmiewa po dzielnicach muzyka w rytm której bawią się wszyscy. Nie może tego dnia zabraknąć też kalebasy - lokalnego piwa z prosa. Chwila radości i bez troski szybko mija i nazajutrz trzeba się zabierać znów do prac polowych. Podczas wakacji organizowane są jedynie przez parafie sesje formacyjne dla różnych grup dziecięcych i młodzieżowych, takich jak: ministranci, tancerki, Aita Kwe (oaza), harcerze, chóry kościelne. Takie trzydniowe warsztaty są okazją do spotkań młodych z wszystkich wiosek parafii oraz formacji poprzez katechezy i zajęcia praktyczne. Podczas tych spotkań jest też dużo zabawy, oglądania wieczorami filmów i to co najważniejsze dużo jedzenia. Koszty takiej sesji podzielone są na trzy części: jedna z kasy parafialnej, druga z kasy danej wspólnoty i trzecia, symboliczna, od uczestników w postaci maki z manioku. Chętnych do takich spotkań nie brakuje, gdyż dla wielu jest to jedyna atrakcja wakacyjna i to bardzo tania.

Przez okres wakacji dzieci i młodzież szukają dodatkowej pracy zarobkowej z myślą o zakupie nowych zeszytów i ubrania szkolnego. Zazwyczaj przychodzą do nas, misjonarzy, by się nająć do pracy przy koszeniu trawy, pielieniu grządek w ogródku czy rąbaniu drewna do kuchni. Staramy się ich zatrudnić, co bardziej wychowawcze jest komuś coś dać za pracę, choćby symboliczną, niż na wyciągniętą, żebrzącą rękę. Pod koniec wakacji liczba chętnych do pracy wzrasta gwałtownie. Tak naprawdę trzeba czasami mocno się nagłowić co dać im do pracy, bo takowej w tym momencie nie ma. Tak to w dużym zarysie wyglądają wakacje w środku Afryki. Na koniec wszystkim Czytelnikom naszego Biuletynu życzę niezapomnianych wrażeń wakacyjnych i dobrego wypoczynku.

br. Jerzy Steliga OFM Cap



Szkoła Muzyczna

pisze br. Benedykt Pączka OFM Cap

Aby wyśpiewać Miłosierdzie Boże, rozpoczęliśmy edukację muzyczną w Republice Środkowoafrykańskiej. Pierwsza szkoła muzyczna w RŚA zaczęła już swoją działalność!

Nie muszę nikomu tłumaczyć, co to znaczy mieć możliwość rozwijania swoich talentów, mieć możliwość chodzenia do szkoły, posiadania zeszytów, podręczników, długopisów, nie mówiąc już o tornistrze.

Chciałbym WAS zaprosić do współpracy w pewnym dziele, które rozpoczęło swoją działalność 1 marca 2016 roku. Jest to szkoła muzyczna w środku buszu! Dla dzieci, które może po raz pierwszy zobaczą gitarę lub akordeon. Czy to możliwe? Niektórzy mówią, że to jest bez sensu, niektórzy się dziwią, a jeszcze inni dali się porwać mojemu pomysłowi.

Dawid Wildstein, dziennikarz wojenny, który odwiedził nas w czasie wojny domowej, pisze tak:

Szkoła muzyczna w środku buszu? Dla dzieci, sierot, żyjących często w skrajnej nędzy? W kraju ogarniętym wojną domową? Szalony pomysł? Tak, ale to nie będzie pierwszy szalony pomysł, który udało się zrealizować bratu Benedyktowi Pączce.

Benek Pączka, kapucyn, w 2013 roku przybył do Republiki Środkowoafrykańskiej jako misjonarz i do tej pory pracuje na północnym zachodzie kraju, w miejscowości Ngaoundaye. Członek kilku grup muzycznych, wydawca płyt. Przez siedem lat pełnił stanowisko sekretarza ds. misji kapucyńskich w Polsce, w tym czasie także wielokrotnie odwiedzał RŚA oraz Czad.

Podczas swoich wizyt w Afryce Benedykt zrozumiał, że dla jej mieszkańców muzyka jest integralną częścią ich życia, niesłuchanie ważnym elementem, w sposób nieznan w Europie. Dzieci tańczą i śpiewają kiedy tylko mogą, ich rodzice zresztą też. Tworzy to idealną „glebę”, na której mogą wyrosnąć całe pokolenia genialnych muzyków.



Tylko, że nędza i koszmarnie warunki państw afrykańskich, brak jakiejkolwiek infrastruktury, sensownego szkolnictwa nie pozwala dzieciakom na zrealizowanie swoich możliwości. Benek, samemu będąc muzykiem, współczuł afrykańskim dzieciom, że nie mogą kształcić się w tym kierunku. Obiecał sobie, a może nawet bardziej Panu Bogu, że jeśli przyjdzie mu pracować kiedyś na misji w którymś z tych krajów, założy tam szkołę muzyczną!

Pan Bóg najwyraźniej wziął tę obietnicę poważnie, bo kilka lat później posłał brata Benedykta do RŚA..., a ten dotrzymał słowa. Brat Benedykt mówi: „Chcę umożliwić swoim możliwości. Benek, samemu będąc muzykiem, współczuł afrykańskim dzieciom, że nie mogą kształcić się w tym kierunku. Obiecał sobie, a może nawet bardziej Panu Bogu, że jeśli przyjdzie mu pracować kiedyś na misji w którymś z tych krajów, założy tam szkołę muzyczną!

Brat Benedykt bardzo liczy na współpracę ze szkołami muzycznymi z Europy. Chce korzystać z doświadczeń muzyków obu kontynentów, zatrudnić ich jako nauczycieli, stworzyć przestrzeń, gdzie wszystkie strony: i dzieci i nauczyciele, będą mogli nawzajem się sobą inspirować i wspólnie rozwijać swoją pasję.

Spośród 200 dzieci, które zgłosiły się pod koniec lutego do naszego Centrum Kulturalnego, wybraliśmy 21. Każde dziecko zostało odpowiednio przesłuchane, musiało zaśpiewać piosenkę, powtórzyć kilka dźwięków oraz powtórzyć rytm. Było bardzo dużo chętnych, jednak wszystkimi dziećmi nie bylibyśmy w stanie dobrze się zajmować. Dlatego została wybrana grupa najbardziej uzdolnionych, którzy mogą przychodzić do nas, aby kształcić się muzycznie. Z dziećmi pracujemy popołudniami: rano uczęszczają do szkoły prowadzonej przez siostry pasterzanki, po szkole przychodzą do nas. Rozpoczynamy zajęcia o 15.00 a kończymy o 18.00. Uczymy ich teorii muzyki, później śpiewu, a na końcu gry na instrumentach. Mogą wybrać instrumenty klawiszowe, flet oraz perkusję.

Przedpołudniami odbywają się zajęcia dla osób dorosłych, które mogą sobie pozwolić na przyjazd do naszego miasteczka. Są to zazwyczaj osoby wydelegowane przez wspólnoty działające w wioskach przy kaplicach, w których posługujemy jako duszpasterze. Z innych wio-



sek przyjeżdżają ludzie, których wydelegowali proboszczowie. Zajęcia dla dorosłych są płatne. Każdy uczestnik kursu muzyki musiał wnieść opłatę 10 tys. franków środkowoafrykańskich za każdy miesiąc nauki (około 60 zł). Zasada, że należy zapłacić za kurs (opłata wynosi zwykle 30% kosztów), jest bardzo ważna. Z mojego doświadczenia wynika, że aby móc wymagać, nie można dawać wszystkiego za darmo.

Zajęcia dla dorosłych odbywały się codziennie od 8:00 do 12:00. Później, po południu, wszyscy mieli możliwość przychodzenia do naszego Centrum i wykonywania swoich zadań. Każdy z uczestników kursu kształcił się w trzech dziedzinach: teorii muzyki, instrumentów

klawiszowych oraz gry na wybranym przez siebie instrumencie. Zajęcia prowadzili nasi profesorowie: Łukasz Kłeczek z Warszawy oraz Baudain Basa z Bangui.

Przy następnym kursie musimy zweryfikować jednak zasady naboru wśród dorosłych, ponieważ o wyborze kandydata we wspólnocie nie zawsze decydowały: talent muzyczny, słuch czy zdolności. Na początku marca 2016 roku kurs dla dorosłych rozpoczął 29 osób, a w maju tylko 9 z nich podeszło do egzaminu. Egzamin zakończył się pełnym sukcesem, ponieważ wszyscy, którzy do niego przystąpili, przeszli go pomyślnie. Na koniec naszego trzymiesięcznego kursu odprawiliśmy Mszę Świętą, odbył się koncert i wspólny posiłek.

Na ostatnich zajęciach odpowiadałem na pytania naszych uczniów, z których kilka wciąż się powtarzało: „Czy taki kurs będzie miał jeszcze miejsce? W jaki sposób możemy rozwijać to, co już otrzymaliśmy od was?”. Odpowiedziałem: „Jest to moje marzenie od dawna, aby rozwijać w was to, co już zostało zasiane”.

Zatem zapraszam Was do pomocy, do śledzenia tego, co w najbliższych latach będzie się działo w Republice Środkowoafrykańskiej. Dzisiaj już wiem, że nadzieją dla tego kraju, nie jest kupowanie żywności oraz rozdawanie różnych rzeczy, ale dawanie możliwości edukacji każdemu z naszych podopiecznych.

br. Benedykt Pączka OFM Cap
e-mail: paczkabenedykt@gmail.com

Zdecyduj się i pomóż!

**SEKRETARIAT MISYJNY
Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów
– Prowincji Krakowskiej**

opiekuje się misjonarzami pracującymi
na kontynencie afrykańskim
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

**Wspieraj misję swoją modlitwą,
pracą i ofiarą.**

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom
potrzebującym w krajach afrykańskich,
w których pracują misjonarze z Zakonu
Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)
Diana Bonowicz,
Nakład: 5 000 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65



CARDINALE Massaia

KAWA MIELONA
I ZIARNISTA

Pijąc kawę
Massaia
pomagasz
misjonarzom kapucynom
w Afryce.

Dochód ze sprzedaży kawy jest
w całości przekazywany na misje
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

Kawa Cardinale Massaia: mielona lub ziarnista
jest dostępna w sklepie internetowym
www.sklep.kapucyni.pl.

Zamówienia przyjmujemy również telefonicznie
pod nr: 12 623 60 50, wew. 132 lub 668 532 250,
oraz listownie pod adresem:
Fundacja Kapucyni i Misje, ul. Korzeniaka 16,
30-298 Kraków.

Wpłaty za kawę prosimy kierować na konto:
33 1240 4533 1111 0010 4887 1511

